



# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 240.000 — Mk. z przes. 245.000 — Mk. Półrocznie 490.000 — Mk. Rocznie 980.000 — Ameryka: 12 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 23 centimów.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: KRAKÓW XV.  
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).  
Telefon Nr. 479.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografii Redakcja nie zwraca

**Należność pocztowa opłacona ryczałtem.**

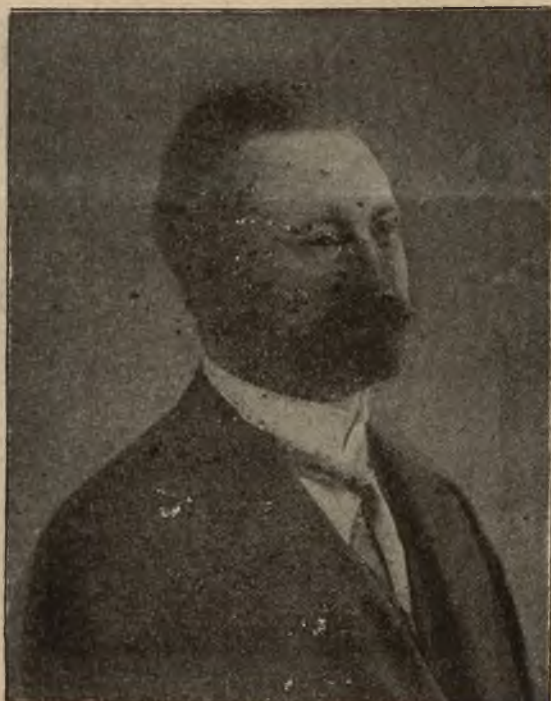
**Numer pojedynczy 20000 Marek.**

Rok XX.

Kraków, 13 października 1923.

Nr. 41.

## Co dalej?



Ci od których oczekujemy odpowiedzi: 1) Minister skarbu Kucharski, 2) Prezydent min. Witos, 3) minister spraw wojskowych Szeptycki, 4) Wicepremier Głębicki, min. oświaty, 5) gen. Władysław Sikorski bohaterski wódz i zdolny dyplomata powrócił ostatnio do Warszawy, 6) min. Kiernik,





Czterej dyktatorowie: 1) Lenin, 2) Ghazi Mustafa Kemal Pasza, 3) Benito Mussolini, 4) gen. Primo de Rivera, hrabia d'Estella.

## Co dalej?

Waląca się nam na karki z dnia na dzień, z godziny na godzinę niesłychana drożyzna artykułów pierwszej potrzeby, niebywały wzrost wartości walut zagranicznych, szalone, zawrotne, akrobatyczne skoki dolara, funta, franka, lira, leja — ba nawet korony austriackiej, niesłychana dewaluacja polskiej marki a przytem zupełna bezradność czynników miarodajnych, wydających zda się kraj i społeczeństwo na pastwę nieuczciwej spekulacji — oto niesłychanie smutne zagadnienia dnia dzisiejszego.

Rozgoryczenie mas, niepokój i wrzenie do ostatecznej nędzy doprowadzonych rzesz pracowników państwowych, zmuszonych do życia z topniejącej z minuty na minutę pensji, groza wiszącego w powietrzu strajku — oto niesłychanie tragiczne konsekwencje tej sytuacji w jakiej się znajdujemy.

Jaki będzie tego koniec? Gdzie i kiedy znajdzie się z tego wyjście, oto beznadziejne pytania które stawiamy sobie wszyscy, bez różnicy przekonań politycznych w ostatecznej trwodze o los państwa.

X.

## Powrót generała Sikorskiego.

Gen. Władysław Sikorski jeden z najzdolniejszych polskich generałów, który jako prezydent ministrów wykazał nieprzeciętne zdolności dyplomatyczne, powrócił ostatnio do Warszawy po paromiesięcznym pobycie we Francji.

## Zwycięstwo czeskie w Lidze Narodów.

Ostatnia nasza przegrana w walce o miejsce dla polskiego delegata w Lidze Narodów, stała się powodem ponownego zainteresowania się opinii tą — zapomnianą już, czy zapoznaną jeszcze

instytucją, do której tak niedawno jeszcze przywiązywano powszechnie niesłychanie duże znaczenie.

I fakt na stosunki polskie znamienity, zdaje się, że nie tylko w samej opinii najszerszych warstw polskiego społeczeństwa, ale nawet w opinii mia-



Zwycięstwo czeskie w Lidze Narodów: Czeski min. spraw zagr. p. Benes, który wszedł do rady Ligi Narodów.

rodajnych kół politycznych nastąpiło jakieś dziwne przerzucenie się z jednej skrajności w drugą.

Bo gdy — lat temu parę — w pierwszych dniach istnienia Ligi, oczy całego świata, a już szczególnie narodów na nowo, lub wogóle po raz

pierwszy do życia państwowego powołanych, zwrócone były z jakąś, zaiste dzieciinną wiarą i zaufaniem w jej potęgę i sprawiedliwość, tak następnie wszyscy, na skutek najrozmaitszych rozczarowań, znowu skrajnie i znowu najniesłuszniej w świecie powiedzieli sobie o niej w duchu, że jest: płodem poronionym.

A już ten sąd powierzchowny, przedwczesny, niesłuszny, niegruntowny, fałszywy, w najwyższym stopniu ją krzywdzący, wydany został najpowszechniej w Polsce.

Skoro Liga nie potrafiła uczynić tego i tego, skoro nie potrafiła zapobiedz temu i temu, można ją (może nawet należy ją!?) lekceważyć!

Otóż tak nie jest. Liga Narodów w rzeczy samej nie stała się, jak było intencją jej inicjatorów, idealnym środkiem zaradczym i zapobiegającym wszystkiemu złemu, nie jest i nie była nieomylną wyrocznią sprawiedliwości, ale może być, mogłaby być, instytucją naprawdę pożyteczną.

Tak sądzić musi każdy, tak sądzą najwidoczniej również nasi sąsiedzi Czesi, którzy więcej widocznie zadali sobie trudu przy forsowaniu swego do Ligi kandydata, skoro go tam przeforsowali.

A my?

My ponieśliśmy niewątpliwie klęskę, którą nie tak łatwo potrafimy naprawić.

X.

## Czterej dyktatorowie.

W powojennym świecie daje się coraz wyraźniej odczuć rzecz szczególna, na którą prasa całego świata zwróciła już uwagę, jest to upadek parlamentaryzmu. Powody jego upadku są różne — a wśród nich poważnym jest i to, że wiele narodów do wysokiego poziomu demokracji nie dorosło. Walki partyjne, jak zwykle po wojnie doszły do absurdu — interesy partji, a nawet jednostek są wyżej stawiane nad najwyższe interesy kraju,



Co słycać we Włoszech: Prez. Mussolini przechodzi przed frontem kompanii faszystów.



# „EKRAN“

nadzwyczajny dodatek „Nowości III.“ poświęcony sztuce filmowej

Zdjęcia z największej na świecie wytwórni filmów „Uniwersal“ w Los Angeles! Budowa paryskiej Notre Dame na polu filmowym w Los Angeles! Sztuka charakteryzacji! Giełda filmowa!



Co słyszać we Włoszech: Prez. Benito Mussolini przemawia podczas uroczystości wojskowej

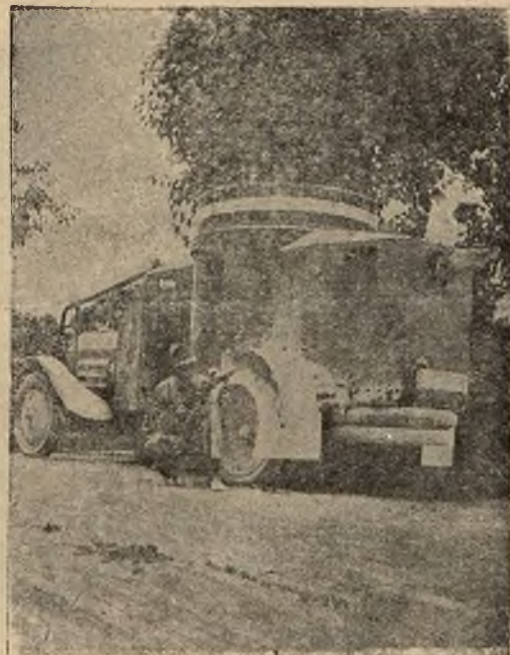
o czym i Polska się co chwila namacalnie przekonuje. Ten stan rzeczy, łącznie z nacjonalizmem, popularnym dziś, (jak po każdej wojnie) stwarza warunki najbardziej odpowiednie dla ambitnych jednostek dla ujęcia władzy w swe ręce. Pobudki

wiele i tak rozmaicie pisano, a który bezwątpienia jest najgenialniejszym teoretykiem i doktrynerem, socjalizmu i wybitnym socjologiem. O jego działalności w Rosji nie można nic napewno powiedzieć — nikt bowiem dokładnie jej nie zna, skoro

tureckim brał udział od roku 1908, a klęska Turcji sultańskiej wysunęła Kemala głoszącego płomienne myśli odrodzenia, na czoło nacjonalistów tureckich. Kemal okazał się wybitnym wodzem i sprytnym dyplomata, a przytem szczerym demokratą. Dyktaturę dźwizył tak długo póki nie zdobył dla Turcji zwycięskiego pokoju. — Obecnie, gdy Turcja



Flaga grecka znowu powiewa na Korfu: Wojska włoskie zdążające na okręty opuszczające Korfu.



Ćwiczenia armii włoskiej: Auto pancerne nowego typu.

jednak tego są w każdym wypadku inne, zależy to w zupełności od indywidualizmu człowieka. Obecnie mamy w Europie w czterech krajach dyktaturę: w Rosji, Turcji, Włoszech i Hiszpanji. Dyktatorem Rosji jest *Lenin*, człowiek o którym

Rosja jest jakby murem chińskim odcięta od reszty Europy, a wiadomości które nadchodzą są sprzeczne i tendencyjne.

Dyktator Turcji: *Ghazi Mustafa Kemal pasza*, jest wybitną indywidualnością, W ruchu młodo-

ma wszelkie warunki dobrego rozwoju, Kemal składa swój urząd, a ponieważ Zgromadzenie narodowe w Angorze ogłosiło Turcję republiką, ma widoki, dla swej olbrzymiej popularności, wyboru na pierwszego jej prezydenta.



Oddziałek karabinów maszynowych.



Ćwiczenia armii włoskiej:

Transport amunicji i żywności zapomocą ogromnych samochodów.



**W 42 Nr. „Nowości Ill.” ukaże się nadzwyczajny dodatek dla miłośników sztuki filmowej**

**„EKRAN”**



Miesiąc podróży po Polsce: Taniec cygański.

Trzeci z dyktatorskiej czwórki *Benito Mussolini* jest ex-socjalistą, synem kowala. Koło każdej wybitnej lub pseudowybitnej jednostki tworzą się plotki i legendy. Tworzą się one i wokół Mussoliniego. I tak „*Ceske Slovo*” podało niedawno, iż Mussolini jest polskim żydem z Podkarpacia, którego ojciec wyemigrował z Polski. Ile jest w tem prawdy wie chyba sam Mussolini. W obecnych czasach istnieje manja robienia wielkich ludzi pols-

### Co słysząc we Włoszech.

¶Czas niemal skrajnej popularności włoskiego premiera zdaje się powoli mijać.

Te wi ści, jakie z dalekiej Italii zaczynają do nas nadchodzić o rozłamie w łonie partii „faszystów”, są, zdaje się, odgłosami tego niezadowolenia szerokich mas włoskiego narodu, który oszłomiony chwilowo teatralną „rewolucją” Mussoliniego, nie miał dla niego nigdy zresztą nic więcej, nad... poklask.

Czas tego poklasku, podziwu i zadowolenia, który Mussolinemu utorował drogę do Rzymu, do króla i do władzy, zdaje się mijać. Premier włoski, znając swój naród, wie, że popularność, która mu w ręce oddała rządy, jest jedynym dla tych jego rządów oparciem, że z chwilą utraty jej, utraci zdobyte stanowisko, wpływ, zn czenie, słowem wszystko — co zdobył.

Świadomość ta jest niewątpliwie powodem szeregu agitacyjnych jego wystąpień w całym kraju, jest powodem częstych mów i pod:óży, którymi stara się jednać sobie przygasającą sympatyę narodu. Los ten, niewątpliwie smutny los wielu wybrańców (a i pomazańców!), jest jednak dla Mussoliniego o tyle łaskawszy, że posiadając silne i wierne



Miesiąc wędrówki po Polsce: Taniec zbójnicki.



Zawody strzeleckie dla szeregowych o mistrzostwo armii: 12 najlepszych strzelców i generalicya.

kimi żydami. Przed trzema laty mówiono o d'Anunziu iż jest żydem ze Lwowa nazwiskiem Rappaport. Gdyby tak było moglibyśmy eksportować z Polski wielkich ludzi dla całej Europy. Generał *Primo de Rivera* hr. de Estella poszedł w ślady Mussoliniego. Poza tem że jest dzielnym żołnierzem mało o nim wiemy. Przyszłość wykaże czy jest to człowiek tej miary, by mógł dźwigać duży bezwzględny ciężar dyktatora rd.

sobie stronnictwo, może jeszcze zawsze liczyć na jego poparcie.

Fotografia nasza właśnie przedstawia prez. Mussoliniego. odbywającego przegląd oddziału „faszystów”. X.

### Ćwiczenia armii włoskiej.

Niedawny konflikt grecko-włoski, wciąż umysł włoskie niepokojące napięcie między Włochami a królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców, popularnie zwanem Ju, osławiają, oto powody dla których armia włoska pozostaje w ciągłym niemal pogotowiu.

Rząd włoski wprowadzający jak wszystkie zresztą rządy europejskie ciągle, daleko idące oszczędności, pod jednym względem nie godzi się na żadną redukcję, a mianowicie pod względem wojska.

Pod jesień odbyły się ćwiczenia wojskowe ze szczególnym uwzględnieniem technicznych gatunków broni w całych niemal Włoszech, a ilustracje nasze przynoszą właśnie zdjęcia aktualne z tamąd. X.



Miesiąc podróży po Polsce: Typy cygańskie.



Miesiąc podróży po Polsce: Zaręczyny góralskie.



Miesiąc podróży po Polsce: Piękność góralska panna Rojówna.

**Najlepsza pasta do zębów!!!**





# Pamiętniki Don Juana

3

Na podstawie autentycznych dokumentów, zebranych przez mnicha Brata Augustyana w klasztorze w Sewilli.

Ale i surowość ojca tyleż wskórała, co czułość matki; zuchwały impet natury chłopca wszystko łamał i przebijał się ponad wszelkie inne wpływy.

Ale dziecko było takie ładne, takie żywe i ucienne, że trudno było inaczej, jak przebaczyć mu jego wybryki. Był to przecież tylko dzieciństwo, a nie złośliwość.

Wszyscy byli w niego wpatrzeni i wsłuchani, wszyscy byli w nim zakochani; był ulubieńcem i pieszczochem całego zamku.

Tymczasem Jerzy wrócił ze zwycięskiej wyprawy i wkrótce stał się najlepszym przyjacielem i powiernikiem Juana. Stryj słuchał chętnie, kiedy chłopiec zwierzał mu się ze swych kar kołmnych zamierzeń, bardzo często nawet pomagał mu w nich, pocieszał go w nieszczęściu i wstawiał się zawsze za nim, ile razy zachodziła tego potrzeba.

— Mój bratanek — mawiał Jerzy z zadowoleniem — jest kochanym, swawolnym łobuzem i wyrośniętym na bardzo milego nicponia.

I zdawało się, jakoby chłopiec starał się już z góry zaświadczyć prawdziwość przepowiedni kochanego stryja.

Wszystkie kobiety z obozu hrabiny przekomarzały się o niego, a on wielkodusznie pozwalał się wszystkim całować. Ale wyróżniał zawsze w uderzający sposób najmłodsze i najładniejsze. Niewinny jeszcze ogień jego pieszczot wywoływał uśmiech na ich ustach, a rumieniec na twarzy.

Siedział w nim jakiś djabełski chochlik, który niczego nie respektował.

Nawet poważne duegny nie były wolne od jego zuchwałych figlów.

Na skargi ich odpowiadał Don Jerzy, że powinni się cieszyć, iż wogóle znalazł się ktoś, który nastaje na ich ciotę.

Jak wszystkie dzieci, pragnął i Juan się dowiedzieć, w jaki sposób przyszedł na świat. Matka powiedziała mu, że przyniósł go aniołek w koszyczku na wstążeczkach. Chciał tedy koniecznie zobaczyć ten koszyczek; musiano go więc sporządzić. Kiedy go już dokładnie obejrzał, zapragnął widzieć anioła. Wy tłumaczono mu, że kiedy anioł odleci, już nigdy więcej nie wraca. Nie zniechęcony tem, zapytał, czy wszystkie dzieci w ten sam sposób na świat przychodzą; a kiedy odpowiedź otrzymał potakującą, nie dał spokoju, dopóki matka nie dała mu formalnego przyrzeczenia, że pierwszego anioła, który z koszyczkiem zjawi się na ziemi, jemu pokaże.

Pewnego dnia, bawiąc się przed bramą, zobaczył węży, wślizgującego się do szczeliny w murze. Podbiegłszy pod mur, chwycił węży za kończynę ogona i wyciągnął z dziury. Podrażniony gad rzucił się z sykiem na zuchwalca, a ten bronił się laseczką, którą miał w ręce. Szczęściem, nadszedł w sam raz Don Jerzy. Węży rozstrząsał, a chłopca porządnie zwymyślał i kazał mu wrócić do zamku. Juan rzucił jeszcze raz okiem na piękną dolinę, rozciągającą się poza murami zamku — i zauważył pięknego, czerwonego ptaka, przeskakującego z gałęzi na gałąź. Schyliwszy się, udawał, jakoby zbierał po drodze kamyki, a kiedy Jerzy wyprzedził go o tyle, że chłopiec znalazł się sam, w tej chwili czmychnął znowu poza bramę i puścił się w pogoni za ptakiem. Zrazu zdawało się, jakoby ptak nie zauważył zbliżającego się prześladowcy; w chwili jednak, kiedy Juan już, już go miał schwycić, ptak odleciał. Chłopiec zauważył ptaka, siadającego opodal znowu na gałęzi i puścił się ponownie za nim, a ptak powtórzył to samo, co poprzednio. I tak raz po raz, od drzewa do drzewa, od pagórka do pagórka, od ścieżyny do ścieżyny, przez pola, skały i zaleski, po wielu godzinach zapędził się na kilka mil odległości od zamku, z wciąż odnawiającą się wiarą w powodzenie pościgu i wciąż na nowo rozczarowany, ale nigdy nie zniechęcony, aż w końcu upadł ze znużenia i wyczerpania. Rozgoryczony i spragniony leżał w febrze pod drzewem i byłby może tak skończył, gdyby szczęśliwa gwiazda, pod

którą się urodził, nie sprowadziła mu znowu wybawcy. Tym razem był to jego chrzestny ojciec, Don Juan de Gomelés, który właśnie konno tamtędy przejeżdżał. Zdumiony widokiem leżącego chorego chłopca, zsiadł z konia, a po nawszym swoim chrzestnego syna, wziął go na ramię i galopem popędził z nim do Bib al-Djebel. Stąd wysłał pospiesznie posłańca do Marany z uspokajającą wiadomością do rodziców. Przywrócony do przytomności, chłopiec pod troskliwą opieką i po należytych wypoczynku, nazajutrz był już zupełnie zdrow. Odesłano go do domu siostrzanej rodziny. Obawa o dziecko i myśl o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło, przyprowadziła hrabinę o silne wstrząśnienie, do czego przyłączyła się jeszcze zabobonna trwoga o przyszłość syna.

Historia z wężem i ptakiem przywiodła hrabinę na pamięć owe uporczywe sny, które ją trapiły, kiedy była w ciąży. Czyżby ten dziwny zbieg okoliczności oznaczał istnienie bezpośredniego związku między snem a rzeczywistością? Czyżby to było zapowiedzią jakiegoś wielkiego nieszczęścia?

Ponieważ Juan nie mógł schwycić ptaka, przeto wbił sobie w głowę, że musi latać. Tak długo męczył matkę, aż mu sprawiła duże skrzydła z czerwonego papieru, które sobie przyprowadził do ramion. Przygotowawszy się w ten sposób, rozpoczął próby: najpierw usiłował wzniesić się z podłogi, wymachując z całych sił uskrzydłonymi ramionami. Potem dopomagał sobie jeszcze rękami nóg. Wreszcie stawał na meblach dla wyższego wlotu. Ostatecznie jednak zawsze spał na ziemi. Te niepowodzenia osłabiły jego zaufanie, ale nie odwieściły go od zamiaru. Po adził się stryja, jakby tu wykonywał swój plan.

— Wszystko zależy od pierwszej próby — odpowiedział Jerzy, którego te głupstwa bratanek ogromnie bawiły. — Jeżeli już pierwszy początek zrobiony, to niema powodu ustawać w dalszej pracy.

Co za nieostrożne słowo! Zapalczywy, śmiały chłopak, znalazłszy się tylko bez dozoru, otworzył okno i wyleciał na wolne powietrze. Zleciał oczywiście na dół, ale spadł przynajmniej na kupę siana i niewiele mu się stało. Ale z niebezpieczeństwa, na jakie się naraził, nic sobie nie robił, jak zwykle: poprostu nie zdawał sobie sprawy z ryzyka. Przedmiot, upragniona rzecz, była dla wszystkiemu, skutki — niczem. Znał tylko jedną troskę, jedną zgryzotę: rozczarowanie w swych nadziejach.

Stryj sprawił mu na pocieszenie ładnego „orla“, którym chłopak bawił się przez cały dzień. Kiedy jednak na drugi dzień spostrzegł, że latawiec mechanicznie się wznosi i zawsze jednako lata, wrzucił go do studni.

Z natury odporny na wpływ zwyczajów i tradycji, urabiał sobie stopniowo swoje pojęcia i wyobrażenia, które go czasem prowadziły do dziwacznych wniosków.

Po śmierci swej karmicielki, koby Marmeli, pochował jej zwłoki w ogrodzie i usypał grób, wyłożony kamykami, w kształcie kopca, a na szczycie ustawił krzyż, sporządzony z dwóch zbitych desek, poczem prosił kapelana o odprawienie mszy. Dużo miał trudu czcigodny kapelan, nim chłopiec dał sobie wytłumaczyć, że zwierzę nie może sobie rościć pretensji do honorów ceremoniału chrześcijańskiego pogrzebu.

Odtąd przyszły rozwój Juana przynajmniej — w pewnej mierze — dał się już przewidzieć. Natura wszczepia nam zarodki, które w nas kiełkują, a życie je rozwija. A w dziecku tkwi cały mąż, jak w żółędzi cały dąb.

## ROZDZIAŁ IV.

### Trzy Marje.

W zamku Marana były trzy dziewczęta tego samego imienia, Marya. Dla odróżnienia nazwano je: Marya, Maryem, Mariquita.

Mariquita — mała Maryjka — to była Laleczka.

Niewiele się zmieniła z biegiem lat. Mała, szczupła i słabowita, nie wykazywała też śladów piękności. Było coś niezdecydowanego w całym jej zewnętrznym wyglądzie. Nie blondynka i nie brunetka, nie ciemno i nie jasnooka, mogłaby nawet uchodzić za wręcz nieładną, gdyby nie uduchowiony wyraz twarzy. W jej oczach było tyle dobroci i łagodności, w jej głosie tyle melodyjnej słodyczy!

Maryem — z arabska — była jedyną córką Don Gomelés'a. Co roku spędzała kilka miesięcy

w rodzinie Juana, który wzajem odwiedzał na dłuższy czas swojego chrzestnego ojca. Ta córka arabskich rodziców posiadała piękność czystego typu swojej rasy. Majestatyczna w gestach i ruchach, wstrzemięźliwa w słowach, smukła jak palma, zdawałoby się, że przeważnie nie zważa na nic, co się wokół niej dzieje, a snuje się wśród obecnych wsłuchana jedynie we własne sny i marzenia. Ale pod chłodną maską krył się ruchliwy umysł i wybuchowa namiętność: był to wulkan pod cienką warstwą śniegu. A w momentach wybuchowych nawet Juan czuł się zdysławiany przez nią w szaleństwie pomysłów i porywów.

Trzecią nazywano jej właściwym imieniem — Marya — i brzmiało to jak wyróżnienie.

Była wysoko urodzona. Jej ociem był Don Inigo Lopez de Mendoza, drugi hrabia Tendillá, pierwszy markiz Mondejar, gubernator Grenady, na której wieżach zatknął pierwszy sztandar chrześcijański; matką była donna Franciszka Pacheco, wnuczka Don Juana Pacheco, markiza de Villena, pierwszego księcia Escalony, ulubienica Henryka IV., króla Kastylji.

Stworzona do rozkazów, tacyła w sobie kobiecą delikatność i wrodzony fakt, które kierowały jej władczy instykt. Wspaniale piękna, dziewczęco kobieca i chłopięco energiczna, o szeroko zarysowanych konturach charakteru, dziewczyna ta zapowiadała świetną przyszłość. I istotnie nie zawiodła oczekiwań. To dziecko przeszło do historii jako późniejsza sławna bohaterka Comunesów, Donna Maria Pacheco.

Jej ojciec był spokrewniony z Donną Clarą, a matka trzymała do chrztu Juana. Dlatego rodzice pozwalali jej na częste odwiedziny zamku Marana.

Różnica charakterów nie przeszkadzała, a może nawet sprzyjała zacieśnieniu węzłów przyjaźni między trzema dziewczętami.

Wszystkie one kochały Juana, ale każda po swojemu. Mariquita ubóstwiała go. Ulegała jego woli, życzeniom, pieszczotom, a jedynym jej pragnieniem było, aby on był zadowolony.

Z równą czułością kochała go Maryem. Oddała się jednak do niego z pewną dumą i samodzielnnością, już to ulegając mu, już to doprowadzając do ulegania swojej woli.

Na stopie równości utrzymywała się Marya. Umiała się stać niezbędną przy zabawie, czy jakimś jego smieszem przedsięwzięciu. Umiała się pogniewać i dać się przeprosić.

Pewnego dnia Juan powziął szalony zamiar wspięcia się na szczyt stromej skały, nachylony na rzekę, najmniej na sto stóp odległości od brzegu. Chciał wybrać gniazdo szpaków. Było dziesięć możliwości przeciwko jednej, że skreśli kark w tej wyprawie. Mariquita oniemiała z przerażenia. Maryem przerażona milczała. Marya usiłowała perswazyą odwieść go od zamiaru, ale Juan na to nie zważał i zaczął się wspinać na skałę. Mariquita rzuciła się z płaczem twarzą do ziemi; Maryem błada jak trup stanęła u stóp skały, na skraju przepaści. Marya pobiegła co tchu do zamku po pomoc. Na szczęście pomoc była już zbyt późna, gdyż właśnie Juan wracał z wyprawy wyczerpany, podrapany, ale tryumfujący. Błądzą Mariquitę podniesiono omdlałą. Maryem, zapytana, co robiła na skraju krawędzi przepaści, odpowiedziała:

- Czekalam, aż Juan wróci albo spadnie
- A co byś uczyniła gdyby spadł?
- Rzuciłabym się za nim.

Wielostronny i zmienny charakter, Juan sympatyzował ze wszystkimi trzema towarzyszkami, stosownie do chwilowego usposobienia to tę, to ową wyróżniając.

Podobieństwo usposobienia i skłonności zbliżało go do Maryi. Z nią najczęściej przeżywał wrażenia zjawisk natury; wspólnie zanurzali się w kontemplację przy szumie wiatru w liściach pomarańczowych drzew; wspólnie snuli marzenia, wpatrzeni w niepokalany błękit nieba; wspólnie poili zmysły wonią kwiecistej natury; wspólnie tarzali się z rozkoszą wzburzonej krwi w rczszalonym rytmie orkanu; wspólnie słuchali w strachu, kiedy natura spowiadała się z swych tajemnic w mowie błyskawic i grzmotów i potem razem pędzili w dal, aby uchwycić rąbek tęczy.

Raz wieczorem siedzieli oboje na skalistym złomie nad rzeką, a księżyc przeglądał się w wodzie i fale szumiały. Nagle Marya przerwała milczenie:

(Ciąg dalszy nastąpi).



GUY DE TÈRAMOND.

## KLEJNOTY RADZY



— W sam raz się zjawia, wykrzyknął pan Clamart, poproś go. — A gdy komisarz chciał opuścić gabinet — nie oddał się pan, dodał, może za chwilę będę go potrzebował.

Baron Plücker wszedł

— Miałem właśnie telefonować do pana — rzekł uprzejmie pan Clamart, aby go wezwać do siebie. Przypadkowo porzucamy się wzajemnie. Co pana sprowadza do mnie?

— Stara historia, odpowiedział baron — morderstwo mego stryja. Nie będę przypominał szczegółów, zapewne pan je pamięta.

— Tak śledziłem je uważnie i przypominam je sobie.

— Przystępuję zaraz do rzeczy. Pan wie, że powodem zbrodni był rabunek, wszystkie klejnoty ofiary zabrano!

— Tak, istotnie.

— Niczego nie zaniedbałem aby morderców odkryć, wyznaczyłem wysoką nagrodę, płaciłem najlepszych prywatnych detektywów... usiłowania moje zostały bez skutków. Zbrodniarze nie zostawili żadnych śladów. Straciłem już nadzieję, gdy parę miesięcy temu jakaś Amerykanka została zamordowana na ulicy Mozarta.

— Mrs. Tankery.

— Pewne szczegóły, dane przez młodego człowieka, który twierdził, że będąc niezwykłym zjawiskiem telepatycznym był świadkiem zbrodni — naprowadziły mnie na myśli, czy ci dwaj mordercy nie byli ci sami.

— Doprawdy? wykrzyknął pan Clamart, którego uwaga podwoiła się nagle.

— Zaraz nazajutrz poszukałem tego młodego człowieka, ofiarowałem mu znaczną sumę, aby oddał na moje usługi swój podwójny wzrok, który zdawał się posiadać.

— Ach! podwójny wzrok! zaprotestował pan Clamart, ale proszę opowiadać dalej.

W ten sposób oddał się na moje usługi, nie wspomniałem o tem, gdy spotkałem się tu z hrabią d'Abazoli-Viscoza, uważając to bez znaczenia.

— Właśnie w sprawie tego Lucyana Delorme chciałem się z panem zobaczyć.

— Czy może mi pan dostarczyć o nim jakich szczegółów?

— Żadnych. Kto on jest? Skąd pochodzi? Co robi? Zupełnie nic nie wiem. Dopiero po chwilowym wahaniu zgodził się na moją propozycję. W kilka dni później przyszedł do mnie, aby mi powiedzieć bez żadnych objaśnień, iż zdaje mu się, że natrafił na dobry ślad. Toteż wyobraził pan sobie moje zdziwienie, gdy na drugi dzień z ust pana dowiedziałem się, że sobie życie odebrał! Wszystko to było takie dziwne.

— Tembardziej, wykrzyknął pan Clamart, że on się nie zabił i jego samobójstwo było udane. Baron Plücker milczał chwilę, rozważał nad tem co usłyszał, a potem rzekł:

— Ale tutaj nie przyszedłem w sprawie Lucyana Delorme. Od wczoraj posiadam nowy fakt, który pomoże do rozwikłania zaniechanego śledztwa. Przeglądając dawne papiery rodzinne, które chciałem uporządkować, znalazłem coś ciekawego. Teraz mam wskazówkę, to prawda bardzo małą, ale która pomoże do schwytania morderców mego stryja.

— Jaką?

— Między brylantami zabranymi przez zbrodniarzy, był jeden znaczony w ten sposób, że można go poznać między wszystkimi. Był dany przez mego pradziadka jego narzeczonej. Grawerowi brylantów udało się na spodniej stronie wyznaczyć mikroskopijnie dwie litery A. F. Andrzej i Fryderyka. Trzeba poszukać tego brylantu, a potem od kupca do kupca dojdziemy do pierwszego posiadacza, to znaczy do morderców mego stryja.

— W istocie, wyszeptał naczelnik, kiwając głową, tylko...

— Tylko?

— Gdzie jest ten kamień, od trzech lat, które upłynęły, przez ile rąk przeszedł, albo przypuścimy nawet, że pozostał u pierwszego nabywcy i że znak nie został zauważony.

— Czyż szczęście nie może nam sprzyjać?

— Dobrze, trzeba rozesłać poufne cyrkularze po wszystkich jubilerach w Paryżu, na pro-

wincyl a nawet i za granicę i nie kryję się z tem, że nie spodziewam się żadnego rezultatu.

— To są już moje ostatnie starania!... ale czy pan naczelnik nie będzie zadowolony, gdy odnajdzie autora zbrodni?

Widocznie baron Plücker dotknął czulej strony, bo pan Clamart powiedział:

— Jutro rano rozślę cyrkularze w różne strony. — Miejmy nadzieję, że przydadzą się na coś.

— Mam przecucie, że się nam powiedzie, ale czy pan nie pragnie jeszcze odemnie jakich wskazówek?

— Nie, dziękuję. Tylko to co pan mi opowiedział o tym młodym człowieku, który jakiś czas był na pańskich usługach, naprowadza mnie na myśl, że to indywiduum należało do bandy, która zamordowała panią Tankery. Jakże inaczej wyłomaczyć, że tak dobrze zna szczegóły zbrodni? I pan nie wiedząc o tem prosi go na drugi dzień, aby zajął się śledztwem. Była to dla niego doskonała sposobność, bo wiedząc o wszystkim, mógł łatwo zawiadomić swoich współpracowników o groźnym niebezpieczeństwie. I oto do jakich granic doszła już jego zuchwałość, pewnego bowiem dnia przyszedł do mnie, aby oskarżyć o morderstwo Mrs. Tankery — proszę zgadnąć kogo?

— A kiedy baron Plücker odpowiedział, że nie domyśla się, pan Clamart wkrzyknął:

— Reprezentanta maharadży de Pandukurah.

— Och! to zawiele! zawołał bankier.

— Nieprawdaż?... Czy pan prowadzi jakie interesy z hrabią d'Abazoli-Viscoza?

— Tak! I uważam go jako prawego człowieka, niezdolnego do najmniejszej podłości. Ale czy pan naczelnik jest pewnym, że ten Lucyan Delorme nie wie nic o mordercach mego stryja?

— Z tego co panu powiedział... wnoszę, że chciał wyłudzić pieniądze... Tylko, i tu pan Clamart podrapał się w ucho i namyślał się — tylko napróżno staram się odgadnąć, dlaczego upozorował samobójstwo na wybrzeżu Javel. Czy pana nie oszukał? Czy mu pan nie groził aresztowaniem? Jednym słowem, czy nie miał jakiego w tem interesu, aby zniknąć nagle?

— Nie!... Wyznam nawet panu, że nigdy mi nie przyszła myśl, aby ten chłopiec tak ułożony i bojaźliwy mógł być kryminalistą.

— Dzisiaj trudno rozróżnić ludzi uczciwych od morderców, my sami mylimy się często.

Mówiąc to naczelnik przerzucił papiery zostawione przez komisarza z Epinette i machinalnie przyglądał się fotografii kobiety — nagle wykrzyknął: Co to ja mówię! i przycisnął guzik od dzwonka.

— Woźny ukazał się.

— Czy inspektor, który mi towarzyszył na ulicę Vezely, powrócił?

— Czeka w przedpokoju.

— Poprosić go!... — a gdy się ukazał podał mu fotografię.

— Dubois, czy nie zna pan tej osoby?

Inspektor spojrział uważnie.

— Przecież to pokojówka hrabiego d'Abazoli-Viscozy — dziś rano zamordowana — wykrzyknął.

— Zamordowana! powtórzył baron Plücker.

— Miałem pewność, że ta dziewczyna musi być współniczką włamywaczy, którzy operowali u hrabiego, oto dzisiaj badając pokój Lucyana Delorme, znaleziono jej fotografię? Co o tem myśleć?

— Że jest jego współniczką.

— Mamy zatem dowód, że Lucyan Delorme jest wplątany w sensacyjną kradzież przy ulicy Vezelay.

— Już wiem! wykrzyknął baron, jakby nagle wszystko zrozumiał. Dlatego żądał odemnie tyle szczegółów co do pożyczki sławnych klejnotów, a ja ufając mu, naiwnie wszystko wyznałem. Wiedząc, że mam pójść na ulicę Vezely zatelefonował, aby odłożyć moją wizytę, bo gdybym był zabrał klejnoty, operacja przygotowana na noc nie byłaby się powiodła.

— Widzi więc pan, jaki interes miał Lucyan Delorme.

— Teraz odgadliśmy wszystko. To nauczył pana — dorzucił aby nie posługiwać się detektywami z amatorstwa — wiesz mi pan, to dobre w romansach. — W rzeczywistości jest inaczej.

— Gdybym był wiedział — wyszeptał baron.

## ROZDZIAŁ II

### Znaczony brylant

Na tydzień przed temi wypadkami młody człowiek, ubrany elegancko, z małą ręczną walizką, wysiadł z pociągu pospiesznego, przybywającego o 10 wieczór z Boulogne na dworzec Północny. Przecisnął się przez tłum czekający za baryerą na podróżnych z Anglii.

Był to Anatol, przewany Zizi Mucha. Gdy znalazł się na ulicy wszedł do auta i kazał się zawieźć na ulicę Rachel Nr. 2.

W pięć minut potem automobil się zatrzymał, wysiadł z niego i zapłacił za jazdę, a gdy wóz się oddalił, szybkim krokiem skierował się w stronę bulwaru Clichy. Niedaleko stamtąd znajdowała się skromna kawiarnia, z której okien światło padało na asfalt uliczny. Gdy wszedł, goście grający w bilard nie spojrzeli nawet w jego stronę. — W głębi sali jakiś mężczyzna przerzucał dzienniki ilustrowane.

Prosił podszedł ku niemu.

— Dobry wieczór, powiedział.

— Czy miałeś dobrą podróż? zapytał drugi podnosząc głowę.

— Wyborną — odparł, siadając naprzeciw niego. Morze było spokojne, podróżnych mało.

— A jak spędziłeś czas twego tam pobytu?

— Znakomicie. — A uśmiechając się, dodał:

— Lady Dufferton była również w Londynie, wysłała kartki do wszystkich przyjaciół, że czas wspaniały i że sezon rozpoczął się cudownie. Chłopiec podszedł ku nowo przybytemu.

— Co pan pozwoli?

— Curaco.

A gdy tenże się oddalił:

— Co słyhać z Antonim — zapytał Zizi.

— Doskonale.

A cichym głosem dodał:

— Nie przyszedł z powodu naszego przekłętego rysopisu podanego we wszystkich dziennikach, ale czeka mnie niedaleko stąd.

— A w czasie mej nieobecności, czy nie zaszło co nowego?

— O ile wiem nic. Policja goni za włamywaczami z ulicy Vezelay i złodziejami z ulicy Jadin.

— To świadczy, że ma nogi!...

Zatrzymał się — chłopiec postawił na stole curaco.

A gdy zostali znowu sami — pytał August:

— A ty jesteś zadowolony?

— Zadowolony? czyż można być z temi złodziejami angielskimi. Za 300 tysięcy franków zabrałem klejnotów, a uzyskałem z tego zaledwie 30 tysięcy. Co to za korzyść? Jednak powinniśmy być zadowoleni. Bronią się trudnościami przy pozbywaniu się, handel idzie źle, niebezpieczeństwa, na które się narażają — dlaczego nie? słuszne powody. Wzruszył ramionami, a zapalając wolno papierosa:

— To prawda, że wartość historyczna kolii markizy de Vallegre jest trudna do oceny... Trzebaby opowiedzieć historię podarunku Ludwika XVIII jakiemuś amerykańskiemu amatorowi... ale to mogłoby być niebezpiecznym dla kupca. Trzeba więc wyjąć kamienie a to zmniejszy jego cenę. Ale jak jest, 10 tysięcy franków wypadnie na głowę, co prawda niewiele.

— Dzisiejsze interesy! westchnął drugi.

W ten sposób rozmawiali o rabunku z ulicy Jadin, tak zuchwale dokonanego przez bandę w czasie wieczoru u Pawłownej. We Francji pozbycie się podobnego łupu jest zawsze trudne. W Anglii formalności przy kupnie klejnotów są mniejsze, a zakłady zastawnicze prosperują swobodnie. To też codziennie złodzieje przebywają cieśninę, dla pozbycia się skradzionych klejnotów, w tem też celu Anatol jeździł do Londynu.

— Zatem wszystko sprzedałeś — rzekł August.

— Wszystko — z wyjątkiem pierścienka hrabiego d'Abazoli-Viscoza. Jestem niezdecydowany co zrobić z nim — w czasie podróży ciągle o tem rozmyślałem. Cena, jaką ofiarowano mi za jego zwrot jest znaczniejsza niż ta, którąbym uzyskał gdzieindziej — bezwątpienia to pokusa!

— A więc?

— Żeby hraba był uczciwym człowiekiem, byłbym zgodził się zaraz na podobny interes — jednak wietrzę w nim hultaja naszego rodzaju, ale silniejszego od nas, ponieważ mu się tak dobrze wiedzie. Waham się też wejść z nim w interes, z obawy, aby czegoś na nas nie zwał.

(Ciąg dalszy nastąpi)



A. CONAN DOYLE

# Pręgowana skrzynia

Tłumaczył L. B.

— Cóż o nim sądzisz, Allardyce? — spytałem

Mój drugi porucznik stał obok mnie w tyle okrętu, rozkraczywszy szeroko swe krótkie, grube nogi. Burza bowiem pozostawiła za sobą fale znacznej wysokości i okręt przechylał się z boku na bok tak, że nasze dwie szalupy z każdym razem dotykały bezmała powierzchni wody. Oparł swą lunetę o liny podtrzymujące z boków tylni żagiel i patrzył długo i z uwagą na smutny, obcy statek, który raz po raz wypływał zafalczając się na grzbiecie fali, przez kilka chwil wisiał na niej bez ruchu, by znów stoczyć się w dół po drugiej stronie. Zanurzał się tak głęboko w wodzie, że tylko od czasu do czasu mogłem ujrzeć przelotnie pas burty koloru zielonego grochu.

Był to bryg. Jego główny maszt był utamany tuż o podstawy kilkadziesiąt stóp ponad pokładem i widocznie nie starano się go odrębać, bo pływał z żaglami i rejami na wodzie obok okrętu niby złamane skrzydło ranionej mowy. Przedni maszt był jeszcze nieuszkodzony, ale żagiel górny nawpół oderwany latał wolno w powietrzu, a żagle szczytowe fruwały przed okrętem we wietrze niby długie, białe chorągiewki. Nigdy jeszcze nie widziałem statku, który, jak się zdawało przeszedł przez ciężką tarapatę.

Nie mogliśmy się temu dziwić, ponieważ w ostatnich trzech dniach były chwile, kiedy wątpliwym było, czy nasza własna barka utrzyma jeszcze kiedy wybrzeże. Przez trzydzieści sześć godzin utrzymywaliśmy kurs w stronę lądu i gdyby „Marya Sinclair” nie była jednym z najlepszych statków, które wyszły z warsztatów w Clyde, nie byłibyśmy mogli przetrwać burzy. Przebyliśmy ją jednak, utraciwszy tylko małą szalupę i część burty po prawej stronie okrętu. Nie dziwiło nas to, gdy, po przeredzeniu się mgły, spoikałszy inne statki mniej szczęśliwe, ten zaś okaleczony bryg kołyszący się na błękitnym morzu, pod bezchmurnym niebem pozostał jak osłepiony błyskawicą człowiek, by świadczyć o grozie przeszłości.

Allardyce, powolny, metodyczny Szkot wpatrywał się długo i z uwagą w mały statek, podczas gdy nasi marynarze zapełnili burty lub powydrapywali się tłumnie na liny poprzedniego żagla, aby móc dojrzeć obcy okręt. Pod 20° szerokości i 10° długości geograficznej człowiek staje się trochę ciekawy na spotkanie statki, główne bowiem szlaki handlu atlantyckiego pozostają daleko na północy. Już od dziesięciu dni płynęliśmy po samotnym morzu.

— Zdaje mi się, że to opuszczony okręt — przemówił drugi porucznik.

Doszedłem do tego samego przekonania, gdyż na pokładzie nie było widać ani śladu życia, a na przyjazne znaki naszych marynarzy nie było odpowiedzi. Prawdopodobnie załoga opuściła okręt pod wrażeniem, że lada chwila pójdzie na dno.

— Nie długo tak wytrzyma — mówił dalej Allardyce swym miarowym głosem. — Lada chwila może wyrzucić koziołka. Woda dochodzi już do brzegu burty.

— Pod jaką flagą płynie? — spytałem.

— Właśnie staram się odkryć. Zupełnie się pokręciła i zawikłała w liny do podnoszenia żagli. Zaraz, teraz ją widzę dość wyraźnie. To brazylijska flaga, tylko że jest do góry nogami.

Okręt wywiesił więc sygnał żałoby, zanim opuściła go załoga. Może dopiero co odjechali. Wziąłem lunetę z rąk porucznika i rozglądałem się wokół po wzburzonej powierzchni ciemno-błękitnego Atlantyku pożyczowanego jeszcze i usianego białymi pasami i bryzgami piany. Ale nigdzie poza nami nie było żywej istoty.

— Może pozostali na nim ludzie przy życiu — zauważyłem.

— Może pozostały na nim towary do ocalenia — mruknął drugi porucznik.

— Dobrze, podpłyniemy więc do niego i staniemy po stronie odwróconej od wiatru.

Gdy byliśmy oddaleni od niego nie więcej jak o sto jardów, skręciliśmy reje przedniego

masztu i barka i bryg stanęły obok siebie, kłaniając się i pochylając, niby dwa tańczące clowny.

Spuścić na wodę jedną szalupę! — rozkazałem — Niech pan weźmie ze sobą czterech ludzi, Mr. Allardyce i zbada okręt.

Ale właśnie w tej chwili wyszedł na pokład pierwszy porucznik, Armstrong; uderzył bowiem siódmy dzwon i za kilka już minut miał objąć straż. Chętnie pojechałbym osobiście na ten opuszczony statek, by się przekonać naocznie, co się na nim znajduje. Pogadawszy więc z Armstrongiem, przesadziłem burty okrętu, spuściłem się po linie i usiadłem w tyle łodzi.

Statek był niedaleko, lecz przeprawa zajęła nam dłuższy czas, a fale były tak wysokie, że często, gdy zapadliśmy się w dolinę między dwoma falwanami nie było widać ani barki, którą opuściliśmy, ani brygu, do któregośmy się zbliżali. Nie przenikały tam promienie zachodzącego słońca, więc było zimno i ciemno w tych pogłębieniach między falami. Lecz każdy następny falwan podnosił nas znowu do ciepła i światła słonecznego. Za każdym razem, kiedy wdziliśmy na białej grzywie fali między dwoma ciemnymi dolinami, mogłem ujrzeć przelotnie długi pas koloru zielonego grochu i chwytający się maszt przedni brygu. Sterowałem tak, abyśmy mogli opłynąć go z tyłu i wyznaczyć na lepsze miejsce do wylądowania. Przejeżdżając obok, ujrzeliśmy na jego boku ociekającym od wody wymalowaną nazwę okrętu „Nossa Senhora da Vittoria”.

— Srona zwrócona do wiatru, kapitanie! — zawołał drugi porucznik. — Uwaga, cieścia z bosakiem!

Za chwilę przekroczyliśmy przez burzę nie wiele co wyższą od naszej łodzi i znaleźliśmy się na pokładzie opuszczonego statku.

Pierwszą naszą myślą było uzyskanie bezpieczeństwa w razie, gdyby okręt miał się zapasać pod naszymi nogami, co wydawało się bardzo prawdopodobne. W tym celu dwóch ludzi trzymało linę ratunkową, a łódź odczepiono od boku okrętu tak, aby była gotowa w razie potrzeby spiesznej ucieczki. Wstałszy cieścią, aby zbadał, ile wody nabral okręt i czy jeszcze wolał przebrać. Sami tymczasem, Allardyce, ja i drugi marynarz, odbyliśmy pospieszny przegląd okrętu i jego ładunku.

Pokład był zasany szczątkami kojców na kury, wśród których wałały się martwe ptaki. Łodzi nie było, z wyjątkiem jednej z wybitem dnem, nie uległo węż wąpłi wości, że za oja opuściła okręt. Kuchnia kapłana znajdowała się w butce na pokładzie, której jedna ściana była wylamana przez gwałtowne fale. Wszedłem do środka z Allardyce i znaleźliśmy stół kapłana w takim stanie, w jakim go opuścił, jego książki i papiery, hiszpańskie czy portugalskie, porzucane na nim w nieładzie i pokryte kupkami popiołu z papierosów. Szukałem wszędzie księgi okrętowej, ale nie mogłem jej znaleźć.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy jej nie prowadził — zauważył Allardyce — Porządek jest strasznie rozluźniony na południowo-amerykańskim statku handlowym i nikt nie robi tego, bez czego się można obejść. A, jeżeli ją prowadził, to musiał ją zabrać ze sobą do łodzi.

— Chciałbym zabrać te wszystkie książki i papiery — rzekłem. — Niech się pan spyta cieścia, ile czasu mamy.

Jego raport był pocieszający. Statek był wprawdzie pełny wody, lecz część ładunku była lekka, nie groziło więc natychmiastowe zatonięcie. Prawdopodobnie okręt nie będzie mógł nigdy zatoniąć, lecz będzie pływał po morzu, tworząc jedną z tych straszliwych, nie oznaczonych na mapach raf, które już tyle słynnych statków przyprawiły o zagładę.

— W takim razie może pan bez niebezpieczeństwa zejść na dół, Mr. Allardyce — powiedziałem. — Niech pan zbada, co można zrobić ze statkiem i przekona się, ile ładunku można ocalić. Ja tymczasem przegładnę te papiery.

Listy frachtowe, kilka rachunków i listów, leżących na stole poinformowały mnie dostatecznie, że bryg brazylijski „Nossa Senhora da Vittoria” wypłynął przed miesiącem z Brazylii. Kapitan nazywał się Texeira; co do ilości załogi nie było żadnej wzmianki. Okręt był w drodze do Londynu, jedno spojrzenie na listy frachtowe przekonało mnie dostatecznie, że nie odniesiemy prawdopodobnie wielkiej korzyści przez przechowanie ładunku. Składał się on z orzechów imbiru i drzewa w postaci wielkich kłoców

z drogocennych, podzwrotnikowych gatunków drzew. One to bezwątpienia uchroniły nieszczęsny statek od zatonięcia, lecz ich wielkość uniemożliwiała nam ich wydobycie. Oprócz tego było trochę przegodnych towarów, jak pewna ilość ptaków zdobniczych dla modniarek i sto skrzyń konserw owocowych. Potem przerzucając papiery na rafie na krótką notatkę po angielsku, która przykuła moją uwagę.

„Upraszam się — brzmiała ona — żeby różne hiszpańskie i indyjskie osobliwości pochodzące ze zbiorów Sanarema, a przeznaczone dla firmy Prontfoot & Neuman, Oxford Street, Londyn — umieszczono w takim miejscu, gdzieby nie zachodziło niebezpieczeństwo, że te nadzwyczaj cenne i jedyne okazy będą samowolnie uszkodzone. To odnosi się w szczególności do skrzyni ze skarbem Dona Ramięza de Leyra, której pod żłdnym w runkiem nie wolno umieszczać w miejscu dostępnym dla ludzi”.

— Skrzynia ze skarbem Don Remireza! Jedyne i cenne okazy! Tu na koniec była możliwość nagrody za ocalenie. Wstałem właśnie, trzymając papier w ręku, gdy we drzwiach ukazał się mój porucznik Szkot.

— Zdaje mi się, że tu na okręcie nie wszystko w porządku, kapitanie — rzekł; był to niewzruszony człowiek, lecz mimo to zauważyłem przesłach na jego twarzy.

— Co się stało?

— Morderstwo się stało, kapitanie. Tam leży człowiek ze szraskaną głową.

— Z bity przez burzę? — spytałem.

— Być może, kapitanie. Ale byłbym zdumiony, gdyby pan kapitan był tego zdania, zobaczysz go.

— Gdzie jest?

— Tutaj, kapitanie, tu w głównej kabynie na pokładzie.

Nie było widocznie wygodnego pomieszczenia pod pokładem brygu, gdyż na pokładzie w tyle okrętu był jeden domek dla kapłana, przy głównej luce drugi, do którego przybudowano kuchnię, a na przedzie okrętu trzeci dla załogi. Do tego środkowego zaprowadził mnie porucznik. Gdy się wchodziło do kuchni zasypanej powywracanymi garnkami i półmiskami, po prawej i po lewej stronie były dwie izdebki z łózkami dla oficerów. Z kuchni wchodziło się do komórki wielkości dwunastu stóp kwadratowych, zasypanej flagami i zapasowymi żaglami. Na ścianach wisiała pewna ilość paczek opakowanych w grube płótno żaglowe i troskliwie przymocowanych. Po przeciwległej stronie stała wielka skrzynia w czerwone i białe pasy, choć naprawdę kolor czerwony tak dalece zbladł, a biały był tak brudny, że tylko w miejscach, gdzie światło padało bezpośrednio można było rozpoznać zabarwienie. Skrzynia miała, jak później zmierzwił, cztery stopy i trzy cale długości, i trzy stopy i dwa cale wysokość, a trzy stopy szerokości — była więc znacznie większa, niż kufer marynarza.

Ale kiedy wszedłem do komórki zapasowej, oczy i myśli moje nie skierowały się na skrzynię. Na podłodze, na grubej warstwie płótna flagowego leżał wyciągnięty niski mężczyzna o ciemnej cerze, z kędzierzawą brodą. Leżał o ile możności jak najdalej od skrzyni, zwrócony do niej nogami. Na białym płótnie rysowała się krwawa plama, wśród której spoczywała głowa, a na jego smukłej szyi wity się drobne, czerwone pasma, biegnące dalej po podłodze. Ale nie było widać ani śladu rany, a twarz jego była spokojna, jak twarz śpiącego dziecka.

Dopiero, kiedy się nad nim pochylałem, dostrzegłem zranienie i odwróciłem się z okrzykiem zgrozy. Czaszka jego była rozłupana siekiera, widocznie przez kogoś stojącego za nim.

Siraszny cios zadany w szczyt głowy przeniknął głęboko do środka. Twarz jego słusznie mogła być spokojna, gdyż śmierć musiała być absolutnie natychmiastowa, a położenie rany wskazywało, że nie mógł w żaden sposób widzieć osoby, która ją zadała.

— Zbrodnia czy przypadek, kapitanie Barclay? — spytał chłodno mój drugi porucznik.

— Masz pan rację, Mr. Allardyce. Tego człowieka zamordowano uderzeniem zadaniem z góry jakąś ostrą i ciężką bronią. Ale, kto to był i dlaczego go zamordowano?

— Prosty marynarz, kapitanie — odparł porucznik. — Może się pan o tem przekonać po jego palcach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## NOWE KSIĄŻKI.

**Dr. Stefan Truchim: Konfederacja dzikowska** Poznań 1921. Nakładem drukarni poznańskiej.

**Tenże: Wartość i znaczenie historii wojen i wojskowości.** Poznań 1922.

Są to dwie książki, które zapewne nie zdołają wielkiej liczby czytelników — z powodów łatwo zrozumiałych. Czas obecny będący erą płaskości i snobizmu, nuworyszostwa i szychu sprzyja bezwzględnie tylko „lekkiej“ pornograficznej najczęściej literaturze, o ile to wogóle da się tą szlachetną nazwą określić, jest zaś wielce nieprzyjaznym dla tego — co faktycznie jest, z tego, czy innego punktu widzenia, wartościowem.

Do kategorii tych ostatnich książek należą te, które właśnie tu omawiamy.

Pierwsza z nich omawia kartę historii polskiej, i to kartę dotąd dokładnie nieznaną — chyba tylko zawodowym historykom. Jest to historia czasu od śmierci Augusta II. Mocnego (1 luty 1733) do czasu elekcyi Augusta III., gdy w Dzikowie, małym miasteczku leżącym o 13 kilometrów na południowy zachód od Sandomierza zawiązała się konfederacja dzikowska mająca za cel utrzymanie na tronie Stanisława Leszczyńskiego. Rzec opracowana jest ściśle historycznie, odstawiając nam z wielką plastyką nastroje ówczesnej szlachty polskiej, dając nam obraz chylący się ku upadkowi Polski i odmalowując wpływy krzyżujące się w kraju oraz politykę Francji, króla Ludwika XV. zięcia Leszczyńskiego, Chauvelina i kardynała Fleury'ego. Autor dr. Stefan Truchim włożył w swą książkę wielki wysiłek pracy — wyzyskał znakomite liczne źródła nie tylko polskie lecz i francuskie, nie poprzestając na rzeczach już opracowanych lecz sięgając i do rękopisów. Praca jego okazuje nam także, że duch narodowy w szlachcie budził się już wówczas, iż już w latach 1733/34, a nie dopiero w drugiej połowie XVIII. wieku nastąpiło ocknięcie się i świadomość, iż źle jest z Rzeczpospolitą i że szybko a stanowczo ratować ją należy. Rzucenie snopa światła na ową nieznaną epokę jest pierwszorzędną zaletą tego dzieła.

Opracowanie i układ książki bardzo dobry. Język prosty, naturalny, bez pozy z którą teraz co krok się spotykamy. Oczywiście książka ma i usterki do których niewątpliwie należy brak mapy, któraby ułatwiała orientację czytelnikowi — wogóle mapy przy książkach historycznych nie powinno nigdy brakować. Dalej jest poprzekręcanych kilka nazwisk i tak np.: nie *Czapkiewicz* lecz *Szapkowski* i nie *Wyszecin* lecz *Wysoczyn*. Są to jednak drobnostki, które w drugim wydaniu dadzą się łatwo usunąć.

„Wartość i znaczenie historii wojen i wojskowości“ jest małą broszurką, liczącą 26 stron przedstawiającą walory, jakie ma dla wykształcenia

wojskowego badanie historii i przebiegu dawnych wojen. Pierwsza część broszury podaje bibliografię polskich dzieł traktujących o historii wojen oraz poglądy wielkich wodzów na ważkość znajomości historii wojen i wojskowości; część druga zajmuje się uzasadnieniem znaczenia wykształcenia wojskowego w tym kierunku. Autor zapewne przez zapomnienie nie wspominał w części pierwszej o znakomitem dziele *Jarostawa Dąbrowskiego* generała komuny paryskiej p. t.: **Krytyczny rys wojny austriacko-pruskiej w 1866 roku**, które to dzieło przetłumaczono swego czasu na wszystkie języki europejskie.

Broszura p. Truchima budzi podziw mnogością materiału i bogactwem literatury, które zdołał autor nagromadzić w broszurze tak małej objętości. Język i styl trochę cięższy, niż w „Konfederacji dzikowskiej“ na co niewątpliwie wpłynęła fachowość tematu. Osobliwa rzecz, iż dotąd nie ukazała się recenzja z tej wartościowej książki w piśmie fachowo wojskowym „Bellonie“. Czyżby i tam grały rolę „wyższe względy“.

Roman Dąbrowski.

## Z MŁODEJ PRASY

„**Płomienie**“ pismo młodzieży pod redakcją *Adama Ciołkosza* rok III. zeszyt 3. Adres Redakcyi: Tarnów, ul. Krakowska L. 32.

Niepodobna dziś nieuznać olbrzymiego znaczenia jakie posiadają związki ideowe młodzieży i ideaowa młoda prasa. A o ile obecne warunki są dla każdej prasy zabójcze, tembardziej dla prasy młodej, której czytelnicy nie są miliardami. I oto w tych warunkach trzeci już rok wychodzi czasopismo dla młodzieży „Płomienie“ a trzeci ich zeszyt z b. r. ma objętości aż 36 stron z kolorową okładką. Na czele numeru jest wypisane hasło *Prawda — Piękno — Dobro*. Oczywiście niechaj przynajmniej młodzi wiedzą co to jest Prawda, Piękno i Dobro skoro starzy w ciężkiej walce o byt zatracili już pcczucie tego, gdy pograżeni w szarzyźnie życia nie myślą już o tych ideałach, które drzemały w ich sercach za młodu, a które dziś są przysypane grubą warstwą kurzu.

„Płomienie“ są wzorem, jak należy redagować pismo dla młodzieży. Uznając, iż przyroda w swej pierwotności i nagiem pięknie najbardziej do serc młodych przemawia propagują „Płomienie“ jak najbliższe obcowanie z przyrodą i zalecają na wzór amerykański letnie obozy wakacyjne, gdzieby młodzież żyła własnym przemysłem i uczyła się samodzielności. Poruszają „Płomienie“ wszechstronnie wszelkie sprawy mogące młodzież zająć, znajdujemy w nich nawet kącik poświęcony Esperantu. W zeszyt 3 znajdujemy też tłumaczenia p. *Józefa Streichera* z poezji indjańskiej, które są

tak piękne, iż dajemy naszym Czytelnikom próbkę erotyku przetłumaczonego z narzecza plemienia *Szoszone*:

### TO NIE BYŁ DUCH ANI PTAK.

*To nie był duch, ani ptak*

*To była moja fletnia*

*Którą słyszałaś*

*Ostatniej nocy przy rzece,*

*Gdy przyszłaś z swym plecionym dzbanem*

*Tam gdzie rzeka przecina wierzby.*

*Wakoba — Wakoba*

*Wołała*

*Chodź między wierzby.*

*To nie był wiatr, ani ptak*

*Który szumił w tubinie*

*To była moja krew, którą słyszałaś.*

*Odpowiadała rąbkom twojej sukni,*

*O której szeptała trawa.*

*To była moja krew, którą słyszałaś*

*Tam przy dzikiej róży*

*Pod wierzby.*

*To nie był żaden niebezpieczny dzik,*

*To było moje serce, które słyszałaś.*

*W skrytce mojego życzenia*

*Dochodziło do muzyki, co płynęła z fletni.*

*Słyszałaś moje serce*

*Moje serce, skaczące pod wierzby.*

Omawiany zeszyt „Płomieni“ zawiera między innymi: Z poezji miedzianego ludu, Hymn do słońca, Odrodzenie kultury, Koszczawskie rycerstwo i t. d. Szata powojenna z licznymi ilustracjami i winiętami w tekście.

Naogół „Płomienie“ są jedynym dziś pismem młodzieży, które jest faktycznie pismem młodzieży, i dlatego zasługują na najszersze poparcie. rd.

„**Iskry**“ tygodnik dla młodzieży. Rok I. Nr. 1. Redaktor i wydawca *Władysław Kopczewski*. Warszawa, Warecka 14.

Ubogi do niedawna jeszcze dział czasopism dla młodzieży poczyna się powoli wypełniać szeregiem tygodników i pism peryodycznych wydawanych z wielką starannością przez ludzi dobrej woli. I tak z początkiem obecnego roku szkolnego ukazał się pierwszy numer nowego tygodnika dla młodzieży „Iskra“, który doborową swoją treścią i piękną szatą zewnętrzną wyróżnia się chwalebnie z pośród innych pism tego rodzaju.

Na bogatą treść pierwszego numeru składa się szereg interesujących artykułów jak rozprawka o *Syrokomli*, informacje o trzęsieniach ziemi i wulkanach, opisy z Japonii i w. i. Krajoznawstwo reprezentuje szkic o *Ostrogu* z dwoma pięknymi ilustracjami.

Jeżeli redakcja na tym poziomie utrzymać potrafi i dalsze numery pisma to rokować im można piękne nadzieje. T. B.

## Z TEATRU.

**TEATR MIEJSKI IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO:** „*GROCHOWY WIENIEC*“, komedia w 4 aktach ze śpiewami i tańcami *Antaniego Małeckiego*.

To, żeby wielki, zasłużony, poważany i ceniony gramatyk, więc indywiduum conajmniej tak wstrętne dla każdego uczciwego człowieka jak... sędzia, celnik, prokurator, albo grabarz — napisał „grochowy wieniec czyli Mazury w krakowskim“ komedię w 4 aktach z muzyką i prysiadami, jest rzeczą tak ogromnie dziwną, tak z zasadami zdrowego rozumu sprzeczną, że już z tego samego uśmieć się można bardzo szczerze i bardzo serdecznie, chociaż (Bóg świadkiem) nic a nic w samej komedii śmiechu tego wytłumaczyćby nie potrafiło.

Rzecz bowiem jest w istocie prawdziwie smutna, jak smutne jest każde takie szlachetne nieporozumienie, w którym do głosu przychodzi bardzo poczciwe serce polskiego uczonego, kturemu się zachciało poezyi! Komedia bowiem jest rodzajem scenicznym tak niesłychanie subtelnym i tak ogromnie trudnym, że, aby ją dobrze napisać, to niewątpliwie nawet trzeba umieć znacznie więcej pożytecznych rzeczy, aniżeli jest rozkosznych wyjątków w pięknej bardzo i bardzo pożytecznej, a najbardziej w szkołach zniechęconej książce, jaką jest śliczna gramatyka autora „grochowego wieńca“ *Antoniego Małeckiego*!

To więc, że na onegdajszej premierze było poza portyrami, policją, sprawozdawcami teatralnymi dziennikami i t. p. mniej więcej (okrągło) około pięćdziesięciu widzów, tłumaczyć można i tem, że widocznie wszyscy inni bywalcy teatralni dostali kiedyś „piątkę“ właśnie z gramatyki A. Małeckiego

a co zatem idzie zniechęcili jego szlachetne imię tak dalece, że go usłyszeć nie chcieli za nic — nawet w prawdziwie komediowym zestawieniu ze śpiewami i tańcami!

Rzecz jest jasna — wiadomo bowiem, że: *komu Bogi były wrogiem.....* a A. Małeczki był przeciw pedagogiem...

Sam „*Grochowy wieniec*“ jest komedią poprawną o kolizyi prostej i zacnej jak prostą i zącą była dusza jej autora, niewymuszonej, choć nieco szablonowej, z przepięknym morałem dawno już ujętym w niesłychanie głęboką sentencję, że:  *kto pod kim dołki kopie ten sam w nie....* i t. d.

Pewne usterki w budowie pokrył poczciwy A. Małeczki okropnie jak to właśnie na gramatyka przystało wyszukany i sprytnym figlem, polegającym na tem, że ilekroć (zdarzało się to zaś często) osoby komedii nie mają już absolutnie o czym mówić, tylekroć zaczyta grać muzyczka, to piano to forte, a wszyscy na scenie ryczą jak wciągane żywcem do łożnicy za długie pachnące włosy niewolnice, albo jak stado śmiertelnie ululanej polskiej szlachty. Wykonawcy, a więc panie: *Zalewska* jako pani Jędrzejowa, *Lincówna*, jako pani Tułska, *Zaklicha* jako Elżbietka, córka pani Tułskiej, *Śniadecka*, jako służąca, a już zwłaszcza *Mazarekówna* jako pani Kunegunda Rucka dołożyły wszystkich starań aby utrzymać się w „typie“ i mówiły pięknie archaizującą polczyzną za co się im należy szczerze podziękować. Panowie: *Jednowski* jako Franciszek Ołtarzowski towarzysząc chorągwi pancernej, *Szymański* jako Jan Chryzostom Pasek *Dobiesław* jako pan Jędrzej Remiszowski, *Kułakowski* jako Łukarz Goworowski Wojski i Podwarości Nowomiejski, *Szyborski* i *Krawczyński* jako jego przyjaciele sekundowali wymienionym

wyżej paniom pięknie, chociaż z wyjątkiem pana *Szyborskiego* wszyscy byii nieco sztywni i nie-naturalni, co się coraz częściej aktorom zdarza w rolach kontuszowych, coraz bardziej zapdajających się w przeszłość.

Na wyróżnienie jeszcze zasługuje pan *Miarczyński* w epizotycznej roli Dziegła pachotka pana Paska i pan *Puchalski* w roli służącego.

*Wiesław Wohnout.*

**NOWY SEZON W TEATRZE IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO.** — Rozpoczęty zawsze interesującym „*Fircykiem*“ z Osterwą w roli tytułowej nowy sezon 1923/24 w teatrze im. *Słowackiego* przyniósł nam oprócz wznowień „*Człowieka z budki suflera*“ i „*Złotego wieku rycerstwa*“ dwie premiery — K. Schoenterra — „*Tragedya dzieci*“ i *Galworthy'ego* — „*Okna*“.

„*Okna*“ są pogodną komedią angielską, ze wszystkimi znamionami dosytu i spokoju u jej bohaterów, którzy przy zetknięciu się z mniej uporządkowanym życiem ludzkim odrzucają je po nieudanej próbie inkorporacyi.

„*Okna*“ zdobyły sobie u nas wielki sukces dzięki świetnej grze artystów to też w tym numerze zamieszczamy fotografię znakomitej trójki głównych partnerów pp. *Bednarzewskiej* mistrzyni wytwornej konwersacyi znakomitej w roli p. *Marel*, panny *Heleny Buczyńskiej* świeżo pozyskanej wybitnej siły warszawskiej „*Reduty*“ i powszechnie lubianego a tak zrosniętego z Krakowem artysty p. *Włodzimierza Miarczyńskiego* w kapitalnej jego nowej roli cyściciela — okien a domorośłego filozofa.



## Flaga grecka znów powiewa na Korfu.

Stało się jak przewidywano. Grecja zapłaciła sumę 50 milionów lirów żadaną przez Mussoliniego i oto wojska włoskie, ku radości mieszkańców wyspę Korfu opuściły. Na miejsce flagi włoskiej u wyjścia do portu wywieszono znów flagę grecką.

W ten sposób zakończył się konflikt grecko-włoski. Należy tu zaznaczyć, że Włosi zachowywali się na Korfu bardzo taktownie i nieprovokując, a ponieważ i ludność grecka przyjęła okupację z rezygnacją do żadnych wykroczeń nie doszło.

Wyspa Korfu (nazwa ta pochodzi od starogreckiego słowa „Koryfe“ — szczyt) jest przypuszczalnie ową sławną Scherją na którą przybył mitologiczny *Odyseusz* do króla *Feaków Alkinoosa*. W starożytności nosiła ona nazwę *Korcyry*. Jest to najbardziej na północy wysunięta z wysp Jońskich, obejmuje 712 km<sup>2</sup> i posiada 120.000 mieszkańców. Bogata jest w wino, drzewo, oliwę i wszelkie owoce południowe. Była ona kolonią dorycką w II. w. przed Chrystusem. Potem dostała się w posiadanie *Illirji, Macedonii i Rzymu*. W wiekach średnich była łupem Normanów potem Wenecjan. Miasto stołeczne *Korfu* liczy 25.000 mieszkańców i jest znakomicie ufortyfikowane, posiada doskonały port i arsenał morski, jest siedzibą arcybiskupa greckiego.

Wyspę Korfu można nazwać śmiało perłą szczyptych dziś posiadłości greckich.



Nowy sezon w teatrze im. Juliusza Słowackiego: Konstancya Bednarzewska, świetna w „Oknach” w roli p. March.

## Zawody strzeleckie dla szeregowych o mistrzostwo armii.

W sobotę dnia 29 września b. r. odbyły się na strzelnicy w Woli Justowskiej pod Krakowem „Zawody strzeleckie dla szeregowych o mistrzostwo W. P. na rok 1923” według następującego porządku:

Zebrani w koszarach gen. dyw. Kościuszki przy ul. Rajskiej zawodnicy, odmaszerowali z koszar o godzinie 7:15 pod dtwem por. Pawlika Brunowa przy dźwiękach orkiestry 5. p. a. c. na miejsce zawodów.

Tu po skontrolowaniu broni, wydaniu amunicji i przydziale stanowisk strzeleckich kierownik zawodów major żand. Dobrowolski Karol, zarządził zbiórkę. Po odebraniu raportu powitał Dca Korpusu gen. dyw. Czikel Józef zebranych na hali oficerów — delegatów i zawodników, który w krótkim przemówieniu podniósł znaczenie broni palnej, siłę i skuteczność celnego ognia. W końcu przemówienia wezwał zawodników do zachowania równowagi ducha, życząc równocześnie przyjezdnym zwycięstwa. — Później nastąpiło otwarcie zawodów punktualnie o godzinie 9:30 padł ze stanowiska strzeleckiego pierwszy strzał.

W zawodach wzięło udział 142 zawodników różnych stopni i broni a nazwiska tych 12 zawodników, którzy na podstawie wyników osiągnęli kolejno najlepsze miejsca, podajemy poniżej:



Nowy sezon w teatrze im. Juliusza Słowackiego: Helena Buczyńska, artystka teatru im. J. Słowackiego.



Z teatru im. Juliusza Słowackiego: Pan Tadeusz Białkowski jeden z najzdolniejszych artystów teatru im. J. Słowackiego, który rozśmiesza do łez kreacją swoją w „Złotym wieku rycerstwa”.

I. St. szer. Leksiński Antoni, z 30 psk. — DOK. Nr. IV, II. sierż. Jessa Wincenty, z 69 p. p. — DOK. Nr. VII, III. plut. Gulik Stefan z 61 p. p. — DOK.

Nr. VIII, IV. plut. Pegłow Fryderyk, z 12 p. p. — DOK. Nr. V. st. sierż. Kuzenko Jan, z 31 psk. — DOK. Nr. IV. VI. szereg. Haraszyn Fiedor, z 31 psk. — DOK. Nr. IV, VII. plut. Szczupan Bronisław, z 63 p. p. — DOK. Nr. VIII, VIII. szereg. Rajzer Józef, z 49 p. p. — DOK. Nr. VI, IX. plut. Kwiatkowski Wincenty, z 73 p. p. — DOK. Nr. V, X. st. sierż. Tokarz Piotr, z 16 p. p. — DOK. Nr. V, XI. szereg. Brytan Józef, z 27 p. p. — DOK. Nr. IV, XII. st. sierż. Reszka Franciszek, z 61 p. p. — DOK. Nr. VIII.

Po skończonym strzelaniu przystąpiło Kollegjum Sędziów do zestawienia wyników, zawodnicy w międzyczasie udali się do pobliskiej gospody, gdzie przy dźwiękach orkiestry 5 p. a. c. spożyli skromne śniadanie, składające się z chleba, gorącej kiełbasy, szklanki herbaty lub piwa.

Wszyscy wyżej wymienieni otrzymali z rąk Dowódcy Korpusu gen. dyw. Czikla Józefa jako nagrody, piękne i cenne przedmioty srebrne z pamiątkowymi napisami, ofiarowane przez Dep. I. Piech. M. S. Wojsk., a oddziały z których pochodzą zwycięscy zawodnicy, otrzymały piękne dyplomy sportowe z podpisem p. gen. dyw. Stanisława Hallera. Szefa Sztabu Gener.

Zawody zaszczylił swą obecnością gen. bryg. Wróblewski Stanisław, Szef. Dep. I. Piech., liczny korpus oficerski, delegacie miejscowych władz, prasy i stowarzyszeń sportowych.

Przez cały czas padał deszcz przez co wyniki obniżyły się o 15%.



Nowy sezon w teatrze im. Juliusza Słowackiego: Władysław Miarczyński w „Oknach” jako domorośły filozof.

## Teatr im. Al. Fredry w Stanisławowie.

(Od naszego korespondenta).

Stanisławowski Teatr im. Al. Fredry rozpoczął już trzeci sezon pracy, rozwijając się coraz pomysłniej i śmiało dążąc do zamierzonego celu stworzenia stałej placówki kulturalnej na Kresach



Teatr im. Al. Fredry w Stanisławowie: Końcowa scena III. aktu „Wesela” Wyspiańskiego.





Regaty w Wenecji: Kanaly weneckie w dniu regat.

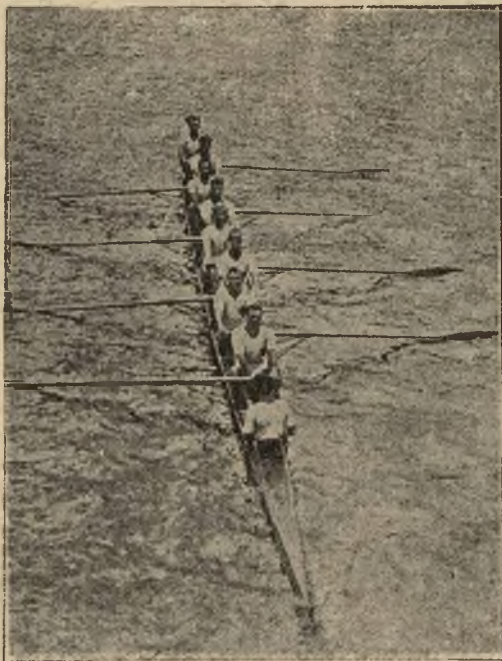
Wschodnich, które tak bardzo potrzebują żywego słowa polskiego. Brak poparcia rządu i miarodajnych władz miejscowych nie odstrasza zapaleńców pracujących z całą ofiarnością, zdobywając coraz większy sukces artystyczny i finansowy. Obecny sezon rozpoczęto „Panem Geldhaben“ Fredry i „Weselem“ Wyspiańskiego pod reżyserją nowo zaangażowanego kierownika dyr. H. Cepnika. Znakomite kreacje: p.p. Cepnikowej, Kuźmińskiej, Wostrowskiej, Spechtowej, Grzybowski, Graffowej, Reinddówny, Galińskiej, Krzyżanowskiej, Orwicz (dotychczasowego kierownika), Rysia, Nawrockiego, Pierackiego, Ostropolskiego, Korczowskiego, Białskórskiego, Waclawskiego, Kulmana, Stasinka Hudetza i innych, były przedmiotem serdecznych owacji publiczności, wypełniającej stale widownię po brzegi.

W dzisiejszym numerze umieszczamy zdjęcie z „Wesela“, wykonane specjalnie dla „Nowości Ilustrowanych“ przez p. M. Jędryka.

## Miesiąc wędrówki po Polsce.

### II.

(rd) Karpaty, a Tatry w szczególności mają w sobie tyle zaklętego piękna i czaru, iż załować musieliśmy, że nie można było przejść ich całych i zrobić specjalnego, wielkiego filmu z tych pięknych polskich gór. Trzeba sobie bowiem uprzytomnić, że drapanie się po skałach i wierchach, włożenie po



Regaty w Wenecji: „Diadora“ zdobywa szampionat Europy.

klamrach itd. z całym technicznym personelem i aparatem jest pracą syzyfową, przytem kapryśna pogoda nie zawsze odpowiadała wymogom kinematografji.

Raz wycieczka zabłąkała się w zapale aż na czeską stronę, gdzie czeski patrol całkiem ordynarnie „zahaltował“ wszystkich w chwili zdjęcia a po wyjaśnieniach, zaplaceniu kary odszupasował do polskiej granicy. Nie wpłynęło to jednak na dobroć humoru uczestników ekspedycji. Z Tatr możemy się jeszcze pochwalić zdjęciem zaręczyn górskich, dalej słynnej z piękności córki Tatr p. Rojówny i tańca zbójnickiego. To ostatnie szczególnie zdjęcie, przy ognisku, dymiącym świeżym igliwem, pod Gewontem rzucającym przy blaskach nocy letniej długi cień, było bardzo trudnem.

Z Zakopanego wracamy do Krakowa. Tu nadarza się pyszna okazja. Banda cyganów rozłożyła swe koczowisko pod „Kopcem Kościuszki“. Więć do auta i jazda. Jakoż wkrótce przybywamy na błonia pod Kopcem na których stoją szałas i wozy cygańskie. Wnet otacza nas gromada smagłych, czarniawych postaci — krzyk i wrzawa. Zaczynamy tłumaczyć o co nam chodzi. Nierozumieją, ale widok banknotów każe im być posłusznymi. Wreszcie dokonujemy zdjęć. Zdobywamy też na taśmie kilka fragmentów tańca cygańskiego. Było tam też wśród cyganów stare cyganisko — pyszny typ — który jednak na pro pozycję, umieszczenia go na ekranie, oddalił się spiesznie mruczając, że z czarownikami i „odmieńcami“ nic nie chce mieć wspólnego. Jeden z członków ekspedycji chciał, by mu wróżono z ręki, nie dosłuchał jednak wróżby do końca, gdy mu cyganka powiedziała: ożenisz się a teściowa doda piotunu do twego



Książę Udine z zajęciem przypatruje się przebiegowi regat.

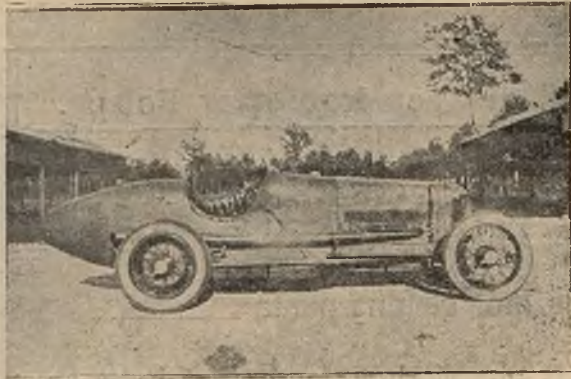


Regaty w Wenecji:

W decydującym momencie regat.

**Jak się zostaje aktorem filmowym, dowie się każdy kto przeczyta 42 Nr. „Nowości Ill.“**





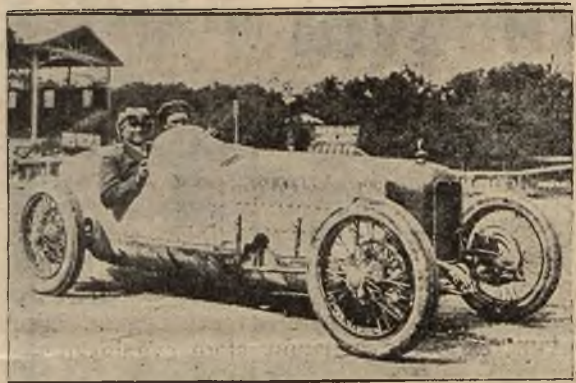
Olbrzymi rozwój automobilizmu Oryginalny typ Alfa Romeo.

życia!... Biedny człowiek!! Operatorowi w czasie zdjęć zginęła papierośnica z kieszeni. Ten będzie miał z Krakowa naprawdę miłe wspomnienia.  
C. d. n.

## Regaty w Wenecji.

W pięknej starożytnej Wenecji gromadzi się rok rocznie w lecie arystokracja włoska na miłą rozrywkę sportową jaką są regaty. Miasto przybiera wtedy zupełnie inną, odświętną szatę, spokojna Wenecja staje się rojną i gwarną. Zarazem mieszkańcy Wenecji mają przegląd najświeższych mód letnich.

Regaty, które odbyły się w tym roku, przy udziale ks. Udine wykazały wielki postęp w stosunku do zeszłorocznych. Szampionat Europy zdobyli tym razem wioślarze „Diadory“, którzy okazali znakomitą i piękną formę.



Olbrzymi rozwój automobilizmu: Automobil typu „Fiat“.

## Olbrzymi rozwój automobilizmu.

Udoskonalenie techniki samochodowej, konstruowanie coraz to nowych i coraz to doskonalszych typów samochodów, niezajrzeczalne wreszcie zalety samochodowej lokomocyi, stały się powodem niesłychanego, w niebywałym tempie idącego rozwoju automobilizmu we wszystkich krajach Europy.

Nic chętnych, gorliwych automobilistów odstraszyć nie potrafili. Ani niesłychanie wygórowane ceny, ani niezmiernie wysokie koszty utrzymania „wozu“, ani wreszcie — jeżeli weźmiemy pod uwagę stosunki polskie — zły stan dróg, zamykanie do lokomocyi samochodowej potrafi przewyciężyć wszelkie głosy opozycji.



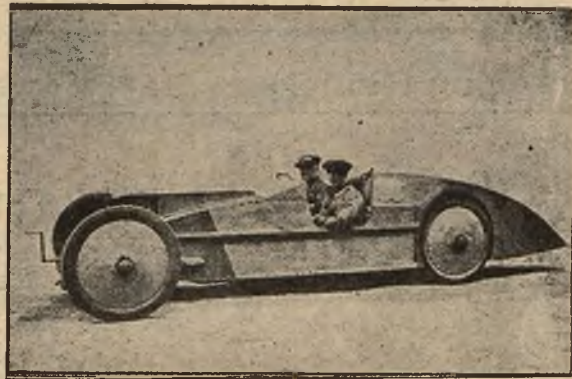
Śmierć pod kołami pociągu: Zwłoki przejechanego na torze.

Dlatego też rozwój automobilizmu nie zwalnia ani na chwilę swego tempa. Nowe typy karoseryi wozów, nowe rekordy odległości, szybkości, wytrzymałości, oto zagadnienia dnia, oto przedmioty, budzące powszechny w świecie sportowym podziw.

Ryciny nasze przedstawiają cztery nowe typy samochodów, które zdobyły w ostatnim czasie nagrody na wyścigach samochodowych w Medyolanie.  
X.

## Śmierć pod kołami pociągu.

W ubiegłym tygodniu znaleziono na torze wjazdowym dworca tow. w Łobzowie od strony Zabierzowa trupa mężczyzny przejechanego przez pociąg. Jak wykazało śledztwo ofiarą nieszczęśliwego wypadku padł niejaki Feliks Zamora z Zawadki przejechany przez pociąg osobowy Nr. 15.



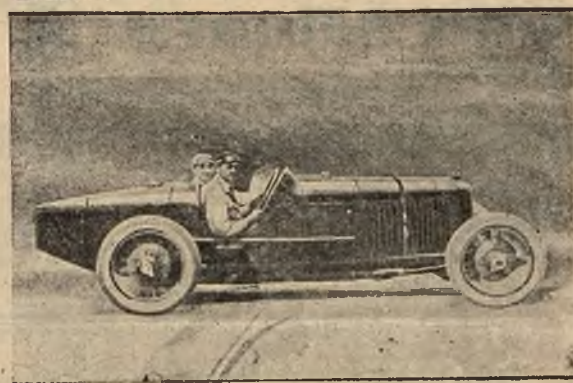
Olbrzymi rozwój automobilizmu: Nieznany u nas, a dziwnej budową automobil typu francuskiego.

## Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszym piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszym piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnym porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcja Nowości Illustrowanych*, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.



Olbrzymi rozwój automobilizmu: Amerykańskie auto systemu Miller.

# ZAKOŃCZENIE KONKURSU PIĘKNOŚCI

## Wyniki głosowania

**UWAGA.** Głosy mogą być jedynie nadsyłane na **Kartkach głosowania** umieszczonych na **12 stronie** „Nowości Illust.“ oraz muszą być zaopatrzone własnoręcznym podpisem głosującego. Z powodu nie zastosowania się do powyższego rygору, została duża ilość głosów nadesłanych nieformalnie unieważniona. *Artyst. Komisya Konkursowa.*

1. Pani Hanka Suligowska, Nowości Illust. Nr. 15, **głosów 57**. J. Kruczkowski, J. Fedyczkowski, Maryan Wierzbicki, Teodor K. Edmund Panek, Krzaklewski, Tomczewski, A. I., R. R., St. Tora i reszta głosów bezimienna.

2. Pani Bronka Rewska, „Nowości Illust. Nr. 37, **głosów 57**. Ludwik Sadowski, Małeński, Albin Różycki, Jan Karliński, A. Grabowski, J. Kalman, Zygmunt N., Kazimierz Sk., Józef Nowodworowski, Michał Goleski, Klemens D., Opatoszyński,

Przeworski, M. N., St. W., P. K., O. K. i 40 głosów bezimiennych.

4. Pani Helena Mojevska (Poznań), Nowości Illust. Nr. 27, **głosów 41**.

5. Pani Leokadya Sarnowska (Poznań) Nowości Illust. Nr. 27, **głosów 38**. Chęciński, Ryszard Siemaszko, Teofil Gajda, Dydczka Stefan, J. Waszyński, Bruno Karczewski i 32 głosy bezimiennie.

6. Pani Irena Świątkówna (Wilno), Nowości Illust. Nr. 25, **głosów 33**. B. Kobiela, Józef Wnuk, Myczkowski St., Aleksander Kłobncki, L. Gajewski, P. Gostowski, Fr. Turlński i 26 głosów bezimiennych.

6. Pani Marya Żurekowa (Gniezno) Nowości Illust. Nr. 37, **głosów 31**.

7. Pani Grażyna Piekosińska, Nowości Nr. 21, **głosów 18**. Chęciński, Wł. Kosiński, Ryszard Siemaszko, Alojzy Sławski i 14 głosów bezimiennych.

8. Pani Stanisława Marenin (Krosno) Nowości Illust. Nr. 34, **głosów 18**. Józef Jarosz, T. Wojnicz, Zamłyński, T. B., H. A., Jotzet i 12 głosów bezimiennych.

9. Pani Józefa Konstantin, Nowości Illustrowane Nr. 35, **głosów 15**. Dr. Henryk Fiternik, Karol Łacki i 13 głosów bezimiennych.

10. Pani Ida Mralska-Grochecka (Bydgoszcz), Nowości Illust. Nr. 34, **głosów 12**.

11. Pani Marya Pyszyńska (Poznań), Nowości Illust. Nr. 34, **głosów 11**. Feliks Jabłoński.

Niżej 10 głosów otrzymały pp.: 12. Marja Jurkiewiczowa (9 głosów); 13. R. Kosicka (9 gł.); 14. Zuza Malinowska (9 gł.); 15. Helena Włodarczyk (8 gł.); 16. Serafina Swater (7 gł.); 17. Lucylla Sowińska (7 gł.); 18. Olga Gotarowa (7 gł.); 19. Marya Druszyńska (3 gł.); 20. Julia Nenkówna (3 gł.); 21. Jadwiga Chęcińska (2 gł.).



Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce.

## KARTKA GŁOSOWANIA

Niniejszem oddaję mój głos na panią .....

....., której fotografia była zamieszczona w ..... Nrze „Nowości Ilustrow.“

Podpis .....

Wyraźny adres i nazwisko .....

Nazwisko moje  pozwalam —  nie pozwalam umieścić w dziale konkursowym „Nowości Ilustrowanych“

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce.

## KARTKA GŁOSOWANIA

Niniejszem oddaję mój głos na panią .....

....., której fotografia była zamieszczona w ..... Nrze „Nowości Ilustrow.“

Podpis .....

Wyraźny adres i nazwisko .....

Nazwisko moje  pozwalam —  nie pozwalam umieścić w dziale konkursowym „Nowości Ilustrowanych“.

## FIRANKI, PORTJERY I KAPY NA ŁÓŻKA

poleca w wielkim wyborze i po cenach  
bardzo przystępnych firma

**KAROL JAROSZ**  
Kraków, Floryańska 35

## Materyały wełniane!

na suknie i kostiumy damskie  
na ubrania męskie

..... płaszczki i r glany.  
Markizety, batysty, woale, perkal, zefiry i szyfony

wszystko w wielkim wyborze  
i po cenach konkurencyjnych  
poleca

**KAROL JAROSZ**  
Kraków, Floryańska 35 (róg ul. św. Marka).

## Kto poszukuje krewnych w Ameryce,

lub chce wejść w stosunki handlowe z Polonią Amerykańską ten powinien ogłosić o tem w

### „Kuryerze Polskim“ z Milwaukee, Wis. U. S. A.

Najstarsze i najpoczytniejsze codzienne pismo Polskie w Ameryce. — Posiada przeszło 100,000 czytelników. Za ogłoszenia z kraju Kuryer Polski pobiera specjalnie niskie ceny.

Reprezentacya na Polskę

**Agencya „Par“ w Poznaniu.**

## NAJSTARSZY I NAJWIĘKSZY SKŁAD FORTEPIANÓW

## Z. RABA nast.

ROK ZAŁOŻENIA 1880

Kraków, ulica św. Anny 1. 3

Poleca pierwszorządne instrumenta po fabrycznych cenach. — Także instrumenta używane.

## Zakład techniczno - dentystyczny N. KLEINBERGERA

Kraków, Szewska 27 I p. (narożnik plant)  
otwarty od godz. 9—1 i od 3—6.

## „ANTONINA“

PRACOWNIA KAPELUSZY DAMSKICH

W KRAKOWIE, UL. FLORJAŃSKA L. 13, I. P.  
(W PODWORCU)

poleca kapelusze damskie i oryginalne modele w wielkim wyborze, oraz przyjmuje wszelkie roboty w zakres modniarstwa wchodzące

**po nader przystępnych cenach.**

## Stanisław Hachaj

ul. św. Tomasza 1. 9.

Magazyn i pracownia obuwia damskiego, męskiego i dziecięcego.

Najnowsze fasony angielskie, francuskie, warszawskie, stale na składzie w wielkim wyborze.



## NAJNOWSZY PRZEWODNIK DLA CHORYCH

Napisałem książkę która ma na celu milionom osób cierpiących, wskazać jedyną możliwą drogę do uzdrowienia.

Ten przewodnik nie kosztuje ani grosza i jest wysyłany bezpłatnie każdemu, kto się czuje chorym, cierpiącym, słabym lub przygnębionym.

Moja książka, będąca owocem 59 letnich rozmyślań i studjów, zawiera całokształt cennych praktycznych doświadczeń, oraz wiele dowodów wybitnych ludzi nauki.

Kto pragnie się ratować, ten niech się stosuje do moich wskazówek, które pomogły już wielu tysiącom osób. Bez względu na to czy choroba powstała wskutek troski, zmartwienia, przemęczenia, czy też dane cierpienie jest wynikiem lekkomyślności i nieumiarkowania — wszystkim przygnębionym, niezdolnym do pracy i z osłabioną wolą ludziami, wskazuję naukową i naturalną drogę do pozbycia się cierpienia nerkowych bezsenności, niechęci do pracy, osłabienia fizycznego i psychicznego, bólów stawów, bólów głowy zaburzeń w trawieniu, oraz, wielu innych dolegliwości.

Należy niezwłocznie jeszcze dzisiaj napisać kartę i zażądać przesłania gratis i franco, mojego Przewodnika

Upraszamy zaadresować kartę.

**E. PASTERNAK, BERLIN, N. O.,**  
Michaelkirchplatz 13, Oddział 98.

NOWOŚCI

Wacław Grabiański

NOWOŚCI

## Niedyskrecje księżyc

(humoreski)

stróżniczy cnoły. — Fuszer. — Inny departament. —  
Tajemnica letniej nocy. — Przygoda samobójcy.  
Cena zasadnicza 0.50.

Tegoż autora:

Wojenny balonik 1. — Przesilenie 1. —  
Rymy i proza 1.50 Piekło 2.50 Dwie nowele 0.50  
Mnożnik ustalony — przez Związek księgarzy-wydawców w Warszawie  
Gebethner i Wolff Kraków.